

Czerwiec był w tym roku wyjątkowo upalny. Od kilkunastu dni temperatura sięgała trzydziestu stopni, od miesiąca nie padał deszcz. Ani jedna chmurka nie osłaniała udręczonej ziemi przed palącym słońcem. Na łąkach i w lesie panowała śmiertelna cisza, nie było słychać śpiewu ptaków ani szumu drzew, tylko świerszcze cykały usypiająco. Srebrzysta rzeka sunęła przed siebie ospale, jakby ledwo starczało jej sił. Ludzie i zwierzęta stali się powolni, ociężali, senni. Nawet czas zdawał się płynąć wolniej. Każdego ranka słońce wznosiło się nad widnokregiem, każdego wieczoru znikało i zapadał zmrok. Noc przynosiła wytchnienie, temperatura spadała, sen pozwalał zapomnieć o codzienności.

Kiedy tylko na niebie ukaże się słońce, cała wieś budzi się do życia. Każdy wstaje i rusza do swych zajęć: starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, rodzice i dzieci, wszyscy wykonują co dzień te same czynności, które wyznaczają pory dnia i spełniane są ze staranną dokładnością niby jakieś tajemnicze rytuały nadające sens życiu ludzkiemu, zwierzęcemu, a nawet roślinnemu. Wszystko ma swoje miejsce i swój czas, świat wydaje się bezpieczny. Chociaż i tutaj dociera niepokój ze świata: starsi kręcą głowami słuchając wieczornych wiadomości. Inaczej kiedyś bywało, dawniej świat był daleko, życie było proste, każdy miał swoje miejsce na tym niewielkim kawałku ziemi, a teraz nie wie człowiek, czy to, co jego jest jego, czy już nie? Ludzie zamiast siedzieć spokojnie tam, gdzie ich Pan Bóg umieścił, jadą gdzieś daleko, daleko. Mówią, że Krzysiek Bocianów to aż do Ameryki wywędrował. A Bocianowie komputer sobie kupili i interneta jakiegoś założyli i ten Krzysiek listy do nich przez tego interneta pisze. Kiedyś to żadnych tam internetów ludzie nie mieli i dobrze było! I jeszcze ta Unia Europejska pcha się do wszystkiego, nawet do kurnika i do obory włazą, czy to kto widział coś podobnego?! I tak to kręcą starzy ludzie głowami, a życie toczy się dalej. Co by się na szerokim świecie nie działo, swoje trzeba zrobić. Przez sześć dni człowiek pracuje, tak jak Pan Bóg kazał, a potem przychodzi niedziela. A w niedzielę kto żyw idzie do kościoła. Choć są i tacy, co nie chodzą: na przykład taki Józek Kuchta, który mówi, że Boga nie ma, bo gdyby był, to on by nie pił. Od dwudziestu lat jego żona modli się za niego, a on jak pił, tak pije i pić będzie.

Kościółek jest nieduży, drewniany. Stoi na niewielkim wzniesieniu, co sprawia, że zdaje się górować nad całą okolicą, łączyć ten nieszczęsny padół łąz z niebem. Wieża kościelna z wiszącym na niej dzwonem wygląda jak wyciągnięta w górę ręka. W każdą niedzielę kołyszący się dzwon wzywa wiernych na mszę. Jego donośny głos niesie się daleko po polach i lasach. Drewniane ławki zapełniają się staruszkami w chustkach śpiewającymi pobożne pieśni, starszymi mężczyznami przysypiającymi tu i ówdzie w kącikach, młodymi, roześmianymi dziewczętami, biegającymi po kościele dziećmi. Tuż przed rozpoczęciem mszy pojawiał się kościelny i zapalał świece na ołtarzu. Był to niski, mniej więcej sześćdziesięcioletni człowiek. Miał krótkie siwe włosy, krzaczaste zrosnięte brwi nad szarymi, patrzącymi zawsze ponuro oczami, małe usta wykrzywione zawsze lekko grymasem gniewu czy też smutku. Utykał lekko na prawą nogę. Swoim wyglądem przypominał kruką, dzieci się go bały, dorośli starali się go unikać. Stasiek Bocian opowiadał, że raz wracał w nocy z baru w pobliskim miasteczku. Noc była piękna, ciepła, a jemu było tak jakoś dobrze i lekko na sercu, że zaczął śpiewać, a głos ma Stasiek, że ho ho! Idzie więc sobie, śpiewa, a tu nagle, powiada, ten skurczybyk kościelny wyłazi zza sosny i jak się nie spojrzy na niego... Nic nie mówi, tylko stoi i patrzy.

- Czego się tak gapisz małpo sakramencka! – wykrzyknął Stasiek, jako że od wódki robił się nerwowy – a kościelny nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się i poszedł.

- Nie jestem strachliwy człowiek, ale tak mnie ten piekielnik zdenerwował, że zaraz wytrzeźwiałem – opowiadał Stasiek. - I nawet śpiewać mi się odechciało – dodał z westchnieniem.

Kościelny mieszkał sam w domku pod lasem. Nie pochodził z tych stron, przybył tu jakieś trzydzieści lat temu. Nikt we wsi nie znał jego nazwiska, nawet stary proboszcz. Unikał ludzi, nigdy z nikim nie rozmawiał. Jego jedynym towarzyszem był stary żółty kundel. Kościelny znalazł go gdzieś i przygarnął.

Pies chodził za nim wszędzie, nawet do kościoła. Nikt go jednak nie wyganiał, bo siedział sobie spokojnie przy drzwiach wejściowych i nikomu nie przeszkadzał. Czekał na swojego pana.

Tamta niedziela w czerwcu niczym nie różniła się od innych. Było bardzo gorąco, parno. Powietrze zdawało się przesycone elektrycznością, zanosilo się na burzę, ale o tej porze roku to nic niezwykłego. Najwyższy czas, żeby spadł deszcz, była straszna susza. Babcie szeptały pacierze, dzieci wyrzywały się rodzicom, kościelny zapalił świece. Organista zaintonował pieśń, fałszując niemiłosiernie. Wszedł ksiądz w asyście ministrantów i zaczęła się msza.

W pustym kościele było cicho i spokojnie, smugi światła słonecznego wpadały przez okna, z oddali słychać było pomruki zbliżającej się burzy. Kościelny zgasił świece i skierował się w stronę drzwi. Wychodząc odwrócił się nagle i patrzył na krucyfiks umieszczony przy ołtarzu. Zwykły drewniany krzyż a na nim konający Chrystus w koronie cierniowej – kościelny widywał go codziennie, ale dziś wydał mu się jakiś inny, choć tak naprawdę wyglądał tak samo jak zawsze. Kościelny wzruszył ramionami i wyszedł. Od domu dzieliły go jakieś dwa kilometry. Szedł pełną drogą, za nim podążał jego jedyny towarzysz. Zdawać by się mogło, że pies jest całkowicie obojętny swojemu panu, który nigdy się z nim nie bawił, nie głaskał, rzadko zwracał na niego uwagę poza porami karmienia. Jednak pomimo braku zewnętrznych oznak przywiązania, żółty kundel nie odstępował swego pana na krok. A i kościelnemu łagodniało spojrzenie, gdy patrzył na psa, a kąciaki ust unosiły się lekko.

Tak więc kościelny i jego pies wracali jak co dzień pełną drogą do domu, spieszyli się, bo chcieli zdążyć przed nadciągającą burzą. Zerwał się silny wiatr, słońce skryło się za chmurami. Kiedy wchodzili do domu, niebo rozświetliła błyskawica. Kościelny zapalił światło i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie obiad i nakarmić psa. Nie miał telewizora ani radia, nie czytał gazet ani książek. Po obiedzie miał zwyczaj drzemać na kanapie lub wędrować po lesie. Czasami jednak dopadał go dziwny jakiś nastrój. Siedział wtedy i wpatrywał się w przestrzeń. Tak było tamtego popołudnia. Usiadł na stołku i patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, a za oknem szalała nawałnica. Niebo było czarne jak w nocy, z góry lały się strumienie wody. Drzewa szarpane wichurą wyglądały jak złorzeczące wiedźmy, wiatr zawodził tak żałośnie, jak gdyby słońce już nigdy nie miało zaświecić, jakby kończył się świat i daremna była wszelka nadzieja. Zgasło światło a kościelny siedział dalej bez ruchu, pogrążony w mroku. Sprawiał wrażenie raczej martwego przedmiotu niż żywej istoty ludzkiej. Pies, który od dłuższego czasu kręcił się niespokojnie, zaskomlał teraz cicho. Siedział skulony i drżał. Kościelny poruszył się i spojrzał w jego stronę nieco nieprzytomnym wzrokiem. Pies patrzył na swego pana z wyrazem przerażenia w brązowych oczach i popiskiwał z cicha. Kościelny podniósł się z krzesła z wysiłkiem i ukląkł przy zwierzęciu. Poglaskał go delikatnie, jakby bał się, że dotyk sprawi mu ból.

- Co ci jest maleńki? Co ci? – spytał cicho. Pies położył mu głowę na kolanach i tak siedzieli obaj i patrzyli sobie w oczy. Tymczasem na dworze nieco się uspokoiło, burza oddalała się. Nagle pies zatrząsł się gwałtownie i padł na ziemię. Kościelny wziął go na ręce, próbował go ocucić, ale na próżno, pies nie żył. Biedny stary człowiek kołysał martwe ciało zwierzęcia i szlochał rozpaczliwie. Nie ma go. Odszedł, tak samo jak Adela. Była taka młoda i wesoła, ale pewnego dnia upadła martwa na podłogę. Tamtego dnia jego świat się zawalił.

Położył zwłoki psa i podniósł głowę. Na ścianie wisiał nieduży drewniany krzyż z konającym Chrystusem, podobny do tego w kościele, tylko mniejszy. Kościelny patrzył na Tego, który odebrał mu Adelę i jedynego towarzysza. W jego oczach nie było gniewu, raczej zdumienie i rezygnacja. Potem położył się na podłodze obok swego psa. Wiatr przegnał chmury i ukazało się słońce, promienie światła spoczęły na twarzy leżącego mężczyzny. Uśmiechnął się delikatnym, chłopięcym uśmiechem, bo zdało mu się, że widzi Adelę, że ona woła go, wyciąga do niego ręce. Ale on nie mógł wstać, był już przecież stary. A ona wołała go i wołała, zawsze była taka niecierpliwa.

- Dobrze – szepnął. Już idę.

Świeciło słońce, powietrze po burzy było świeże i pachnące. Na niebie ukazała się wspaniała tęcza,

krople wody lśniły jak perły. W małym domku na skraju lasu spoczywały dwa ciała. Kościelny leżał obok swego psa i uśmiechał się.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JoannaP, dodano 11.06.2012 10:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.